

Nowy autorytarny świat



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Nikt już nie kocha demokracji. Ma ona przeciwko sobie niezadowolonych populistów, zbuntowaną klasę średnią, brutalnych technokratów i prężne autorytaryzmy w Chinach i Rosji. Tak źle nie było do dawna.

Demokracja jest w globalnym odwróceniu. Jeśli wierzyć Freedom House Index, uznanemu za najbardziej miarodajny wskaźnik swobód obywatelskich oraz reprezentatywności rządów, to od ośmiu lat z rządu demokracji na świecie jest coraz mniej. Co gorsza, od rządów ludu coraz dalej odchodzą kraje takie jak Rosja, Kenia, Tajlandia i Argentyna, a więc państwa, które w swoich regionach są niezwykle wpływowe. Joshua Kurlantzick, autor książki „Democracy in Reverse” [w wolnym przekładzie: „Demokracja w odwróceniu”], pisze wręcz, że obecna sytuacja przypomina lata 30. XX w. Przyczyn jest naturalnie wiele, można je jednak podzielić na trzy grupy: załamanie demokratyzacji w Trzecim Świecie; wzrost potęgi euroazjatyckich autorytaryzmów i kryzys zaufania do rządów ludu w ich kolebce, na Zachodzie.

Fetysz demokracji i opadająca fala

Za Samuelem Huntingtonem powszechnie wyróżnia się trzy fale demokratyzacji.

Pierwsza zaczęła się w USA wraz z odejściem od arystokratycznego republikanizmu epoki założycieli w stronę rządów bardziej egalitarnych. W wieku XIX fala ta stopniowo obejmowała zaś zachodnią Europę. Druga nastąpiła po zwycięstwie aliantów w II wojnie światowej, a trzecia po upadku komunizmu. Wielu sądziło, że arabska wiosna jest częścią czwartej.

Po każdej fali obserwowaliśmy naturalnie cofkę lub też swoistą kontrfalę autokracji, a w czasach nam bliższych powstanie nowoczesnych autorytaryzmów i totalitaryzmów. W myśl teorii każde wezbranie demokracji miało jednak obejmować coraz większy obszar, a cofki miały być coraz płytsze.

Demokracje czwartej fali okazały się bowiem niezwykle niestabilne. Po części winne były temu nadmiernie rozbudzone oczekiwania, a po części „sprzedawanie” rządów ludu w pakiecie z wątpliwymi dobrodziejstwami Konsensusu Waszyngtońskiego.

Pomimo niezwykle wątpliwych empirycznych postaw do takiego twierdzenia

liberalną demokrację połączoną z liberalizacją handlu reklamowano w Trzecim Świecie jako panaceum na wszystkie jego bolączki. Wzruszeniem rąk zbywano argumenty, że czy nam się to podoba, czy nie, gwałtowne skoki gospodarcze i cywilizacyjne równie często dokonywały się w państwach autokratycznych, co demokratycznych.

**Ambiwalencja wobec
demokratyzacji w Trzecim
Świecie nakłada się na
bezprecedensowy spadek
zaufania do
demokratycznych instytucji
na samym Zachodzie**

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Sytuacja gospodarcza wielu nowych demokracji nie ulegała poprawie, rosło rozczarowanie i korupcja, a rząd i lokalne elity traciły kontrolę nad gospodarką, bo kursy ich walut zostały już uwolnione, zaś zakłady pracy sprzedane zagranicznym inwestorom.

Co ciekawe, jak podkreśla Kurlantzick, w wielu krajach poziom korupcji za czasów twardych autorytaryzmów był mniejszy i bardziej unormowany niż w okresie demokratyzacji. Jak w carskiej Rosji, gdzie prowincjonalni urzędnicy mieli wyżywiać się sami, korupcja w okrzepłych dyktaturach stanowiła typ nieformalnego opodatkowania. W krajach demokratyzujących się w pierwszym okresie przemian korupcja natomiast gwałtownie wzrastała, stawała się nieprzewidywalna

i dotykała nawet zupełnie kluczowych funkcji państwa. Działo się tak, ponieważ kraje te znajdowały się w stanie, w którym nie wykształciły się jeszcze stabilne rządy prawa, a już zaniknęła silna władza dyktatorska, która poprzednio hamowała niezdrowe ambicje urzędników i oligarchów.

Zwiększona korupcja, niestabilność i gospodarcze osłabienie często sprawiają dziś, że świeżo zdemokratyzowany lud wylega na ulice niemal natychmiast po poprzedniej rewolucji. To scenariusz dobrze znany z Ukrainy właśnie, Egiptu, Tajlandii i licznych krajów latynoamerykańskich.

W pewnym momencie klasa średnia zaczyna się jednak bać kolejnych niepokojów wywołanych nowymi obietnicami bez pokrycia. Nawet jeśli drobni przedsiębiorcy i ludzie wolnych zawodów poparli poprzedni przewrót, to z czasem coraz mniej uśmiechają się im rządy populistów, często sięgających też po fundamentalizm religijny czy też hasła radykalnej rewolucyjnej redystrybucji. Klasa średnia, która jeszcze niedawno była uważana za ostoję demokracji, zaczyna więc coraz częściej popierać niedemokratyczną stabilizację w postaci rządów wojskowych lub co bardziej przewidywalnych dyktatorów. To przecież właśnie egipscy lekarze, nauczyciele i sklepikarze wiwatowali, gdy junta odsunęła od władzy prezydenta Muhammada Mursiego, który dzięki głosom klas niższych i poparciu organizacji islamskich wygrał w pełni demokratyczne i nienaganne proceduralnie wybory.

Protesty klasy średniej przeciwko pierwszej generacji demokratycznie wybranych polityków to jednak bynajmniej nie tylko egipska specjalność. Do podobnych zdarzeń dochodziło również w na Filipinach, w Wenezueli, Boliwii, Kenii, Tajlandii i na Tajwanie. Na całym świecie

politykę coraz częściej robi się na ulicach, a coraz rzadziej przy urnie. Demonstranci chcą zaś nie zwiększania, lecz zmniejszenia demokracji, w zamian za wprowadzenie porządku. Kurlantzick nazywa to wręcz rewoltą klasy średniej.

Czarni Rycerze ze wschodu

To jednak nie jedyny problem współczesnych demokracji. W wielu regionach świata na problemy gospodarcze nakłada się też rosnący wpływ Rosji i Chin. W literaturze politologicznej utarło się nawet zabawne określenie: „efekt czarnego rycerza”. Mianem tym określa się mechanizm, dzięki któremu silny i sprawny autorytaryzm hamuje demokratyzację krajów sąsiednich lub umacnia w nich systemy dyktatorskie.

Istotnie, dziś brutalna skuteczność armii Putina i gospodarcza siła Chin zadziwiają i fascynują nawet Zachód. Nie trzeba więc chyba tłumaczyć, jaki wpływ ma polityka tych potęg na państwa takie jak Białoruś, Turkmenistan, Mongolia czy Kazachstan.

Sukces modelu chińskiego tłumaczyć można też logiką globalizacji, która od władzy politycznej coraz częściej wymaga podejmowania trudnych decyzji w krótkim czasie i unikania żmudnych konsultacji społecznych. To zaś coś, co autorytaryzmy robią zdecydowanie lepiej niż demokracje.

Przykłady są zaś aż nadto dobitne. Chiny dysponują obecnie największymi na świecie rezerwami walutowymi. Pekin może z łatwością udzielać wielkich pożyczek, inwestować na ogromną skalę, niszczyć lub budować gospodarki krajów ościennych. W tym samym czasie amerykańska gospodarka turla się od jednej kongresowej batalii o zatwierdzenie już

zaplanowanych wydatków do drugiej, polityka się o kolejne procedury, straszy rynki finansowe, a nawet wysyła amerykańską budżetówkę na bezpłatne urlopy.

Wzorem są zresztą nie tylko Chiny. Pograżone w politycznym chaosie demokratyczne Filipiny tuż za miedzą mają stabilny, zasobny Singapur, który organizuje wprowadzić fasadowe wybory, w praktyce jest jednak autorytarnie zarządzany przez spadkobierców słynnego Lee Kuan Yew (obecnym premierem jest najstarszy syn Lee). Eksperymentujący z rządami ludu Irak sąsiaduje zaś z coraz lepiej sobie radzącym i w miarę stabilnym Iranem. Porzucone przez Zachód i podbijane przez Putina ukraińskie społeczeństwo może zaś już wkrótce zacząć zazdrościć autorytarnym Białorusinom.

Autorytaryzmy nie są też bynajmniej bierne. Celowo wspierają finansowo i militarnie siły dążące do obalenia wątłych demokracji i rządy już niedemokratyczne. Pograżona w kryzysie Ukraina Janukowycza już, już sięgała do rosyjskiej kiesy, która miała się dla niej otworzyć bez niepotrzebnych warunków wstępnych. Doszło jednak do rewolucji, więc dziś Rosjanie finansują „spontaniczne” prokremlowskie demonstracje w Doniecku, Charkowie i Sewastopolu. Afrykańscy dyktatorzy z kolei mogą łatwo przyciągnąć chińskich inwestorów i obłowić się bez owego demokratycznego pouczenia, które zwykle słyszą z Zachodu.

Gdy zaś marchewka nie pomaga, zawsze można użyć kija. Ukraina z nieregulowaną kwestią granic na wschodzie nie ma raczej szans na otwarcie drogi do członkostwa w UE czy NATO, co z pewnością ułatwiłoby wydatnie jej demokratyzację. Podobnie sprawy się mają z Gruzją po wojnie z roku 2008. Sfinlandyzowany

przez Chiny Tajwan też raczej nie będzie się zachowywał tak wojowniczo jak za czasów gen. Chiang Kai-sheka.

Patrząc na to, jak łatwo jest państwowym niedemokratycznym prowadzić bezczelnie skuteczną politykę zagraniczną, niektórzy zachodni politycy i analitycy zaczynają również skłaniać się ku zimnowojennej logice w stylu „nasz dyktator lepszy od ich dyktatora”. Po obaleniu Mursiego jest to, np., półoficjalna doktryna w stosunkach amerykańsko-egipskich.

„Nasi rodzice byli wdzięczni za to, że pozwolono im głosować, my jesteśmy pierwszym pokoleniem, które mówi, iż głosowanie jest bez sensu”

Znany amerykański dziennikarz i politolog Fareed Zakaria w swojej książce „The Future of Freedom: Illiberal Democracy at Home and Abroad” [w wolnym przekładzie: „Przyszłość wolności: nieliberalna demokracja w USA i na świecie”] twierdzi wręcz, że światła oligarchia wyznająca coś, co nazywa on „liberalnym konstytucjonalizmem”, jest lepszą opcją niż nieliberalna, tępiąca mniejszości i innowierców demokracja. Zakaria uważa, np., że Indie i Pakistan są tak nietolerancyjne i nieskore do pojednania, bo jest w nich za dużo – a nie za mało – demokracji. Słowem, rządy mniej reprezentatywne wyszłyby wszystkim na zdrowie.

Czytając Zakarię, traci się jednak momentami pewność, czy aby chodzi mu jedynie o pogromy hinduskich muzułmanów

i pakistańskich hinduistów oraz o fundamentalistyczne ciągoty egipskiego bractwa muzułmańskiego. Zakaria jest bowiem zażartym obrońcą Konsensusu Waszyngtońskiego. Nie jest więc pewne, czy popieranie oligarchii, które będą przetrzącać karki opozycyjnym siłom politycznym, służy dobru danego kraju i propagowaniu tolerancji, czy też raczej interesom zachodnich inwestorów.

Dryf demokracji na Zachodzie

Co ciekawe, ambiwalencja wobec demokracji w Trzecim Świecie nakłada się na bezprecedensowy spadek zaufania do demokratycznych instytucji na samym Zachodzie. Partie, które różnią się już tylko nazwami, z roku na rok mają mniej członków, a wybory odbywają się przy coraz mniejszej frekwencji. Nic zresztą dziwnego, tak jak w przypadku ACTA bezimienne biurokracje coraz częściej załatwiają swoje interesy nad głowami obywateli.

W konsekwencji zaufanie do demokracji mierzone przez Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju spadło w ostatnich siedmiu latach we wszystkich krajach UE, z wyjątkiem Bułgarii. Na Słowacji i Węgrzech spadek wyniósł zaś ponad 20 proc. W USA Kongres odnotowuje tymczasem najniższe poparcie od czasów swojego powstania. Słabnie też, swego czasu szeroko opisywany, efekt dyfuzji demokracji z zachodu na wschód. Zdaniem Freedom House w dekadę od przystąpienia do Unii Europejskiej transparentność wyborów, wolność słowa i ogólny stan demokracji uległy pogorszeniu u wszystkich bez wyjątku nowych członków wspólnoty.

Polityka na Zachodzie, podobnie jak w Azji i Ameryce, coraz częściej wychodzi też na ulice. Kurlantzick cytuje np. młodą

Hiszpankę, która podczas demonstracji stwierdziła: „Nasi rodzice byli wdzięczni za to, że pozwolono im głosować, my jesteśmy pierwszym pokoleniem, które mówi, iż głosowanie jest bez sensu”.

W podobnym tonie wypowiadał się nieformalny przywódca młodej włoskiej lewicy Beppe Grillo, po tym jak prezydent Giorgio Napolitano po raz trzeci z kolei, dość arbitralnie, wyznaczył nowego „technicznego” premiera. Na nominację Matteo Renzi Grillo zareagował suchym podsumowaniem, że nie ma już zupełnie zaufania ani do szefa rządu, ani do samej demokracji.

Włosi nie przejmują się jednak specjalnie kolejnymi zmianami u steru władzy, dopóki rządowi udaje się uniknąć ostrego hiszpańskiego kryzysu. Amerykański historyk idei Paul Rahe nazywał podobne zjawisko dryfowaniem demokracji w kierunku Tocqueville’owskiego miękkiego despotyzmu i twierdził, że na Zachodzie rozpoczęło się ono wraz z upadkiem komunizmu. Jak pisze, „nagłe osiągnięcie przez liberalną demokrację absolutnej hegemonii” powitano „w najlepszym razie z ostrożnym optymizmem, a w najgorszym z poczuciem rezygnacji”.

Dziś dojrzelismy już jednak do sytuacji, w której znudzenie, o jakim pisał Rahe, zamienia się w złość, a nawet rozpacz. Młode pokolenie Europejczyków nie ma ani pełnej wolności, ani materialnej stabilizacji, ani więzi na poziomie małych wspólnot i rodzin.

To, co nasza cywilizacja oferuje w zamian, Marcin Król trafnie zaś określa jako współczesną wersję oświeconego absolutyzmu. Chodzi w nim o to, aby wyemancypowanych do cna indywidualistów rozbroić i oderwać ostatecznie od polityki, pozostawiając ją wyłącznie „specjalistom”. Zdaniem Króla w tak spreparowanym

społeczeństwie pomału wzbiera jednak owo „coś”, ów radykalizm, który przy braku alternatywy ma z jednej strony zastąpić utracone więzi, a z drugiej zburzyć absolutystyczny ład. Dlatego Król w swojej nowej książce („Europa w obliczu końca”) nawołuje do powrotu do myślenia o równości, a widmo rewolucji znów krążące po świecie zachodnim określa enigmatycznym mianem „istotnych zdarzeń o charakterze wstrząsowym”.

Nowe średniowiecze i republikanizm

Osobiście jestem jednak jeszcze mniejszym optymistą od Króla. Nikt nie będzie reformował zachodnich demokracji ze strachu przed rewolucją. Rewolucje zawsze organizują ludzie młodzi, a przy obecnej dynamice demograficznej na Zachodzie jest ich już zwyczajnie za mało. Jest więc niezwykle prawdopodobne, że w końcu utrwali się w naszej cywilizacji mniej lub bardziej oligarchiczny system, który w moim eseju określiłem kiedyś średniowieczem w wersji 2.0. Dodatkowo władzę nowych feudałów w starej Europie stabilizować będą zarówno Chińczycy, jak i Rosjanie oraz Amerykanie. Wszystkie światowe potęgi traktują bowiem zachodnią Europę trochę jak skrzyżowanie banku, skansenu i eleganckiego country clubu; na rewolucji nikomu nie zależy.

Sytuacja nie jest naturalnie zupełnie beznadziejna. Lekarstwem zdaje się tu świadomy, powolny powrót do pewnej formy klasycznego republikanizmu, który łączył troskę o wartości komunitarne z pełną jawnością instytucji i przejrzystymi mechanizmami sukcesji.

Być może taki nowy stary republikanizm będzie musiał istotnie ukrócić pewne autodestrukcyjne tendencje masowej demokracji. Rousseau w „Uwagach nad rzą-

dem Polski” zalecał m.in., aby obywatelstwo i prawo głosu przyznawać jedynie osobom, które przedtem złożą specjalny egzamin. Teoretycy nowych procedur demokratycznych piszą zaś np. o cyfrowo generowanych mechanizmach „demokracji płynnej”.

Zanim zacznie się planować nowe republiki, należy jednak zaznaczyć, że re-

publikanizm prawie nigdy nie wygrywa dzięki brutalnej sile. Jego bronią były raczej cierpliwość i sprytne wykorzystywanie odpowiednich historycznie republikańskich momentów. Współcześnie oznacza to zaś, że droga do owego nowego ustroju republikańskiego, czymkolwiek miałby on być, wiedzie przez długą dolinę wypełnioną postpolitycznym mrokiem.